

WYSEPKA

ANDREA LEVY



ALBATROS

Tytuł oryginału:
SMALL ISLAND

Copyright © Andrea Levy 2004
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2006

Redakcja: Barbara Nowak

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: Mary Long/Shutterstock (*kobieta*);
freepik/Shutterstock (*Big Ben, budka telefoniczna*);
macrovector_official/Shutterstock (*statek, latarnia*);
macrovector/Shutterstock (*flizanka*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



PROLOG

Queenie

Myślałam, że byłam w Afryce. Powiedziałam to przy całej klasie. Nasza nauczycielka, Ranny Ptaszek, postawiła mnie przed brytyjską flagą (nie pozwalała na nią mówić Union Jack. „To flaga imperium, a nie piosenka w szkolnym przedstawieniu”), a ja z całą śmiałością oświadczyłam:

– Byłam w Afryce, kiedy przyjechała na Wembley.

Wtedy Ranny Ptaszek powiedziała mi, że Afryka to kontynent.

– Queenie Buxton, jesteś mądrą dziewczynką – dodała – ale nie byłaś w Afryce, tylko na wystawie Imperium Brytyjskie, podobnie jak tysiące Anglików.

Wyjazd na wystawę zorganizował Związek Rzeźników. Co roku urządzali taką wycieczkę dla rzeźników z żonami i dziećmi. Mogli nawet zabrać swoich najlepszych pracowników. Dostawali wolny dzień. Mama lubiła te wyjazdy.

– To trochę jak święto – mówiła do ojca.

– Piekielna strata czasu i tyle – burczał.

Mimo to wyjeżdżał.

Bywały takie lata, że wyjeżdżała prawie cała nasza farma. Dziewczęta kuchenne, które pomagały mamie w pieczeniu wieprzowiny w cieście; dziewczęta podwórzowe, które karmiły świnię i drób, nawet te głupki z szopy – pomocnicy taty – poprzebiekali się z poplamionych fartuchów w swoje najlepsze, postrzępione, źle leżące garnitury, żeby pojechać na wycieczkę. Wszyscy ubieraliśmy

się odświętnie i jechaliśmy do Blackpool poplukać się w morzu albo krążyliśmy czerwonym autobusem po Piccadilly Circus, albo naśmiewaliśmy się z małp w ogrodzie zoologicznym. Potem nadchodziła pora powrotu. Mężczyźni spali przepici piwem, dzieci chlipały, bo dostały lanie za pobrudzenie ubrań albo za to, że kamień wplątał im się we włosy. Prawie za każdym razem któraś z dziewcząt zniknęła z jakimś chłopakiem i wracali dużo później rozmamłani i zawstydzeni.

Kiedy pojechaliśmy na wystawę, Wielka Wojna skończyła się nie tak dawno temu, ale wszyscy już prawie o niej zapomnieli. Nawet tata przyznał, że wystawa Imperium Brytyjskie brzmi imponująco i że chyba warto rzucić na nią okiem. Król powiedział o niej: „Cafe imperium w miniaturze”. W związku z tym mama wyobrażała sobie, że to rzeczywiście będzie jakaś miniatura imperium, jak kolejki do zabawy albo makiety miasteczek. Do czasu aż ktoś jej powiedział, że widział na wystawie parowóz „rakieta Stephensona” naturalnych rozmiarów.

– To ta wystawa musi być wielka jak cały świat! – zawołałam i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Moich braci, Billy’ego, Harry’ego i Jima, musieliśmy zostawić w domu. Byli za mali. Wszyscy przytakiwali tacie, kiedy tłumaczył zapłakany malcom, że tłum by ich tam po prostu pożał.

– Ja się nie boję pożarcia – zakwilił Billy.

Uwiesili się płaszczami mamy i nie przestawali się mazać, aż w końcu musiała obiecać, że przywiezie każdemu z wystawy coś ładnego, na przykład miniaturowy silnik albo żołnierzyki. Zostawiła ich z jedną z dziewcząt kuchennych, Molly. Stała nadąsana przy oknie i patrzyła za nami wzrokiem, od którego mogło skwaśnieć mleko.

Miałam na sobie białą sukienkę z organzyny z niebieskimi wstążkami, spływającymi luźno z przodu, i włosy splecione w dwa msysie ogonki przyozdobione wielkimi białymi kokardami. Przez całą drogę w pociągu rodzice gawędzili z innymi rzeźnikami i żonami rzeźników na temat... humanitarnych sposobów uboju za pomocą topora. Ja musiałam siedzieć między dwójgiem naszych pracowników z farmy, Emily i Grahamem, chichoczących i flirtujących nad moją

głową.

Emily pracowała u nas jako podwórzowa od dwóch miesięcy. Miała bardzo miłą przybraną matkę, która mieszkała w (hrabstwie) Kent i robiła obrazki z wiosennych kwiatów. Miała też ojca i dwóch wujków w Londynie, którzy dużo pili i nigdy nie udało im się wytrzeźwieć na dość długo, żeby iść na wojnę. Graham pomagał tacie w szopie. Podtrzymywał ogień pod kotłami z paszą dla świń. Znosił wieprzowinę w cieście do piekarni i w ogóle biegał z najróżniejszymi zleceniami taty, tylko nie dość szybko. Tata wołał na niego Jim. Pierwszego dnia, kiedy Graham przyszedł do pracy i powiedział, że nazywa się Graham, tata obrzucił go wzrokiem z góry do dołu i rzekł:

– Nie mam czasu zawracać sobie głowy takimi cudacznymi imionami. Będę na ciebie wołał Jim.

W efekcie niektórzy nazywali Grahama Jimem, a niektórzy Grahamem, i nauczył się reagować na obydwa imiona. Według mnie jego jedyną ambicją było obmacać piersi Emily.

Setki ludzi przelewały się przez drzwi wystawy, mijały ogrody i jeziora albo krążyły beładnie, gadając. Matki ciągnęły dzieci, żeby szły szybciej, kobiety pokazywały różne rzeczy palcami, starcy szukali miejsc do siedzenia:

– Tam! Nie, tam... Albo tam będzie najlepiej.

Imperium w miniaturze. Pawilon techniki, pawilon przemysłu i dziesiątki budynków, z których każdy mieścił inny kraj należący do nas, Brytyjczyków. Niektóre budowle były okazałe niczym zamki, niektóre miały śmieszne spiczaste dachy, a jeden, jestem pewna, miał na szczycie nasadzoną połówkę cebuli. Właściwie można tu było zwiedzić cały świat.

– Bierze człowieka duma, co? – zwrócił się Graham do mojego ojca.

Ojciec przez minutę mierzył go wzrokiem z góry do dołu i z dołu do góry, a potem powiedział:

– Patrzcie no go!

Wszyscyśmy dużo dyskutowali o tym, co najbardziej warto obejrzeć – mieliśmy cały świat i tylko jeden dzień, żeby go zwiedzić. Mamy nie interesowały lasy Birmy ani trofea z polowań na grubego

zwierza na Malajach. Na kawę z Jamajki odrzekła: „Może później”; na cukier z Barbadosu: „O nie”; na czekoladę z Grenady: „Po co?”, a na Sarawak: „A gdzie to jest, na Boga?”. W Kanadzie stała rzeźba księcia Walii naturalnych rozmiarów, zrobiona z żółtego masła. Przepychałam się naprzód, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Przycisnęłam twarz do szyby, ale mama mnie zaraz odciągnęła.

– Trzymaj Emily za rękę, nie chcę, żebyś się zgubiła.

I fuknęła na Emily. Za nami ludzie wyciągali szyje, żeby zobaczyć coś za plecami mamy i jej zaczerwienionej pomocnicy, a wszyscy mamrotali pod nosem:

– Naprawdę to masło? Masło? Niemożliwe.

Mama powiedziała Emily, że zabrali ją tu tylko po to, żeby mnie pilnowała, i jeśli się zgubię, to będzie miała poważne kłopoty.

No więc Emily przylgnęła do mnie jak sadza do kominiarza, a wszędzie gdzie się ruszyła, podążał za nią Graham.

Australia pachniała jabłkami, dojrzałymi, zielonymi, chrupiącymi jabłkami. Zapach był tak ostry i słodki, że aż mnie w zębach mrowiło.

– Weźmiemy trochę – oświadczył ojciec i stanął w kolejce, żeby kupić owoce w małej brązowej torebce.

Mama zostawiła sobie jabłko na później, ale ja zjadłam swoje od razu, ogryzek oddałam Emily. Graham oświadczył, że zamierza zamieszkać w Australii.

– W Australii, ty? Taki tępy gałgan? – Ojciec się roześmiał.

Chciałam obejrzeć strzyżenie owiec w Nowej Zelandii, ale kiedy udało nam się tam dotrzeć, zobaczyliśmy tylko gołe chude zwierzę biegające po zagrodzie, a obok stertę runa. Hongkong pachniał rurami, a w Indiach roilo się od jaskrawo wystrojonych kobiet w dziwacznych długich, kolorowych szatach. Każda miała na środku czoła czerwoną kropkę. Nikt mi nie potrafił powiedzieć, po co są te kropki.

– Idź i zapytaj którąś – powiedziała Emily.

Ale mama mi nie pozwoliła. Kropki mogą znaczyć, że te kobiety są chore, oświadczyła, i że ta choroba jest zaraźliwa.

Na zapach herbaty z Cejlonu głośno przełknęła ślinę.

– Tak bym chciała gdzieś usiąść i napić się herbaty. Okropnie bołą mnie nogi!

Tata mruczał, że nie zwiedził jeszcze ciastkarni ani maszyn do pakowania papierosów, a ja płakałam, że chcę zwiedzić więcej krajów. Emily nazwała mnie małą paniusią, a mama upomniała ją, żeby uważała, co mówi. Tata poinstruował Grahama – powtórzył to dwa razy, aby się upewnić, że Graham dobrze rozumiał – że mamy się spotkać później z nim i z mamą w holu ekspozycji gazownictwa. Tak więc mama i tata udali się na poszukiwanie nowoczesnych maszyn i chłodziarek, a ja, Emily i oczywiście kliwy Graham poszliśmy dalej sami zwiedzać świat.

Właśnie wtedy zgubiliśmy się w Afryce. Zabłąkaliśmy się tam, podążając za lepkiem, brązowym zapachem czekolady. Emily szła za Grahamem, oglądając się na mnie raz po raz i wołając: „No chodź, pospiesz się!”. Chciałam, żeby mi kupili kakao, które popijali wszyscy dookoła, ale Emily pociągnęła mnie za mysi ogonek i kazała iść dalej. Zaraz potem znaleźliśmy się w afrykańskiej wiosce, a Graham rozejrzał się dookoła i drapiąc się po głowie, powiedział do Emily, że musi iść do toalety.

Byliśmy w dżungli. Dookoła nas stały lepianki ze spiczastymi dachami z patyków. W jednej chacie na gołej ziemi siedziała kobieta o skórze czarnej jak atrament w moim szkolnym kałamarzu. Niczym cień, który nagle ożył. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i tknęła na krosnach kolorowy, wzorzysty materiał.

– My mamy maszyny, które za nas to wszystko robią – powiedział Graham, a Emily szturchnęła go łokciem, żeby był cicho. – Ona i tak mnie nie rozumie – rzucił. – Oni są niecywilizowani, rozumieją tylko bębny.

Kobieta przeplatała czótenko przez sieć nici, jakby w ogóle nie słyszała, że obok niej ktoś rozmawia.

– Widziała tu pani gdzieś toaletę? – zapytał ją Graham, ale tego również kobieta nie rozumiała.

– Chcę stąd iść – powiedziałam, bo nie było tu nic ciekawego do oglądania.

Wtedy nagle zjawił się mężczyzna, Afrykanin. Wyglądał, jakby go ulepiono z roztopionej czekolady. Złapałam się mocno Emily i wtuliłam się w nią, ale mnie odgoniła. Był tuż koło mnie, mogłam

widzieć, jak oddycha, człowiek małpa o pocie pachnącym naftaliną, twarzy czarniejszej, niż gdybym wysmarowała się sadzą. Kropelki potu połyskiwały mu na czole i świeciły jak klejnociki. Jego usta nie były różowe, tylko brązowe, wargi wydęte jak napompowane dętki rowerowe. Włosy miał wełniste, niczym ostrzyżona czarna owca, nos spłaszczony, nozdrza wielkie jak tunele kolejowe. I patrzył z góry prosto na mnie.

– Chciałabyś go pocałować? – zapytał Graham.

Trącił mnie łokciem i drażniąc się ze mną, popchnął mnie w stronę tego czarnego mężczyzny.

Emily zachichotała.

– No, dalej, Queenie, pocałuj go, pocałuj.

A ten mężczyzna cały czas na mnie patrzył. Czułam, jak policzki nabiegają mi krwią i czerwienieją. On tymczasem odsłonił w uśmiechu dwa rzędy idealnych, olśniewająco białych zębów. Jego usta w środku były różowe, a twarz przysuwała się do mnie coraz bliżej. Mógłby mnie połknąć ten wielki czarnuch. Zamiast tego odezwał się wyraźnie po angielsku:

– Może lepiej uściśniemy sobie ręce?

Grahamowi mina zrzedła. A ja uściśniłam rękę Afrykaninowi. Była ciepła i lekko spocona, jak każda. Potrząsałam jego dłonią w dół i w górę przez kilkanaście sekund, a on skłonił przede mną głowę i rzekł:

– Bardzo mi miło cię poznać.

Potem mnie puścił i odsunął się na bok, żebyśmy mogli przejść. Emily cały czas chichotała, spoglądała na Grahama i przewracała oczami. Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Graham mruknął znowu, że musi iść do toalety. Afrykanin widocznie go zrozumiał, bo wyciągnął rękę i powiedział:

– Tam obok drzewa jest łazienka. Sądzę, że znajdzie pan tam to, czego potrzebuje.

Ale Graham nie trafił do toalety. Musiał się wysikać za kubłami na śmieci, podczas gdy ja z Emily pilnowałyśmy, czy nikt nie patrzy.

Tata powiedział później, że ten Afrykanin, który mi ścisnął rękę, był na pewno w Afryce jakimś wodzem albo księciem. Kiedy mówią

po angielsku, to znaczy, że się ucywilizowali, że uczył ich jakiś biały człowiek, prawdopodobnie misjonarz. Tata powiedział mi, żebym się nie martwiła, że ściszałam rękę temu Murzynowi, bo to musiał być jakiś bogacz.

Aby odwrócić moje myśli od tej przygody, obiecał mi przejażdżkę kolejką widokową.

– No chodź, będzie tam widać wszystko na wiele kilometrów – przekonywał mamę.

Mamie nie podobał się ten pomysł; bała się, że zrobi mi się niedobrze i zwymiotuję na ludzi stojących na ziemi. Tata nazwał ją ciołkiem i przyrzekł jej najwspanialsze widoki, jakie w życiu widziała. Pomachałam Emily i Grahamowi, kiedy nasz wagonik wznosił się coraz wyżej, a oni zostali w dole – Emily, żując toffi, a Graham, paląc papierosa. Aż wreszcie znikli.

– Potem znowu się pokażą. – Mama westchnęła.

Wznosiliśmy się do nieba, dopóki ludzie w dole stali się nie więksi od kropek. Kiedy zawisliśmy na samej górze, a mrugające elektryczne światła mieszały się z gwiazdami, tata powiedział coś, czego nie zapomnę do końca życia:

– Tylko popatrz, dziewczyno, cały świat leży u twoich stóp.

1948

ROZDZIAŁ 1

Hortense

PRZYPOMNIAŁA MI SIĘ CELIA Langley. Celia Langley stojąca przede mną z rękami na biodrach i z głową w chmurach. I mówiła:

– Och, Hortense, jak będę starsza...

Wszystkie jej marzenia zaczynają się od: „Kiedy będę starsza...”.

– Kiedy będę starsza, wyjadę z Jamajki i zamieszkać w Anglii.

Mówiła to z akcentem osoby z wyższych sfer i zadzierała wysoko nos, w każdym razie najwyżej, jak się dało zadrzeć taki okrągły i spłaszczony nos jak jej. Zaczynała się kołysać, gdy widziała ten obraz oczami duszy.

– Hortense, będę miała w Anglii ogromny dom z dzwonkiem u drzwi frontowych i będę tym dzwonkiem dzwonić. – I zaczynała naśladować jego dźwięk: ding-dong, ding-dong. – Zobaczysz, kiedyś wyjadę do Anglii i będę dzwonić do drzwi dzwonkiem. Tak, tak się stanie, kiedy będę starsza.

Ja wtedy kiwałam tylko głową i mówiłam:

– Na pewno tak będzie, Celio, na pewno.

Nie ośmieliłabym się nawet marzyć, że to ja pewnego dnia wyjadę do Anglii, że będę płynąć na statku wielkim jak cały świat, czuć, jak słońce stopniowo przestaje palić, a zaczyna delikatnie pieścić skórę na mojej twarzy. Ale to naprawdę ja stałam przed wejściem domu w Londynie i dzwoniłam do drzwi. To ja naciskałam guzik, żeby usłyszeć ding-dong. O, Celio Langley, gdzie teraz jesteś, ty ze swoimi wielkimi planami i nosem w chmurach? Widzisz mnie teraz? Widzisz

mnie w Londynie? Hortense Roberts, ze złotą obrączką na palcu i suknią ślubną w kufrze. Pani Gilbertowa Joseph. I co ty na to, Celio Langley? To ja stoję teraz w Londynie i dzwonię do drzwi jednego z najwyższych domów, jakie widziałam na oczy.

Kiedy jednak przycisnęłam ten guzik, wcale nie usłyszałam dźwięku dzwonka. Nie rozległo się żadne ding-dong. Nacisnęłam jeszcze raz, bo może dzwonek nie zadziałał jak należy. Dom był zaniedbany, ale bardzo okazały. Na pewno mieszkał w nim kiedyś jakiś lekarz albo prawnik, a może nawet przyjaciel króla. Bo tylko ktoś z wyższych sfer mógł mieszkać w domu z kolumnami przed wejściem. A kolumny były ozdobne, spiralne, z wymyślnymi rzeźbieniami. W oknach właściciele tego domu wstawili kolorowe szyby jak w kościele. To prawda, że niektórych brakowało, a w ich miejsce włożono tekturę zaklejoną paskami białej taśmy, ale w końcu ktoś mógł wiedzieć, jakich okropnych spustoszeń dokonały tu bomby Hitlera podczas wojny? Po raz kolejny nacisnęłam dzwonek. Przytrzymałam kciuk na guziku, a jednocześnie przyłożyłam ucho do okna. Wtedy zapaliło się światło i rozległ się kobiecy głos.

– No dobrze już, dobrze, idę! Chwileczkę.

Cofając się o dwa schodki, ominęłam kupkę psich odchodów w stercie śmieci i zeschniętych liści. Wyglądziłam płaszcz i naciągnęłam go w miejscu, gdzie, niestety, urwał mi się guzik. Poprawiłam kapelusz, ponieważ obawiałam się, że mógł oklapnąć nieco od wilgotnego powietrza i że mogę wyglądać nieco komicznie. Wprostowałam się.

Drzwi otworzyła Angielka o bardzo jasnych włosach, różowych policzkach i tak błękitnych oczach, że sprawiały wrażenie najjaśniejszej rzeczy na całej ulicy. Popatrzyła na mnie, rozchyliła wąskie usta i powiedziała:

- Słucham?
- Czy to jest miejsce zamieszkania pana Gilberta Josepha?
- Słucham?
- Gilberta Josepha – powtórzyłam wolniej.
- Ach, Gilbert. Kim pani jest?

Wymówiła imię Gilbert tak dziwnie, że w pierwszej chwili przestraszyłam się, czy nie trafię do niewłaściwego mężczyzny.

– Pan Gilbert Joseph jest moim mężem.

Na twarzy kobiety odmalowało się zdziwienie i zadowolenie. Obejrzała się w głąb domu, podnosząc przy tym głowę, a potem odwróciła się z powrotem do mnie.

– Nie wyjechał po panią?

– Nie widziałam się z Gilbertem – odparłam. – Czy wszelako nie jest to miejsce, gdzie zamieszkuje?

– Co takiego? – zapytała Angielka i marszcząc czoło, spojrzała na kufer stojący za moimi plecami przy krawężniku, gdzie postawił go kierowca taksówki. – Czy to pani kufer?

– Mój.

– Wielki jak Szetlandy. Jak go pani tu przytargała?

Zaśmiała się przelotnie. Uśmiechnęłam się, aby nie dać po sobie poznać, że nie mam pojęcia, o co jej chodzi z tymi swetrami.

– Przyjechałam taksówką, kierowca zapewnił mnie, że to właściwy adres. Czy to jest dom pana Gilberta Josepha?

Kobieta zwlekała jeszcze przez chwilę, po czym wreszcie odpowiedziała:

– Proszę poczekać, zobaczę, czy jest w swoim pokoju.

Po tych słowach zamknęła mi drzwi przed nosem.

A ja zastanawiałam się, jak ktoś mający metr sześćdziesiąt siedem wzrostu (metr siedemdziesiąt w ślubnych szpilkach), jak ktoś taki może się dostać na szczyt tego wysokiego domu. Przychodziły mi do głowy tylko liny i bloki, które wciągną mnie na górę. Mieliśmy na Jamajce schody. Nawet w jednopiętrowych domach mieliśmy schody, którymi goście wchodzili na werandę, i drugie, prowadzące do kuchni. W moim seminarium też były schody – na pierwsze i drugie piętro z sypialniami dla uczennic. Schody nie były mi obce, a jednak kiedy patrzyłam na ten niebosiężny budynek, jedyne, co mój umysł potrafił wymyślić, to liny i bloki. Najwyraźniej zbyt dużo czasu spędziłam na statku.

W ostatnim liście Gilbert Joseph zarzekał się, że wyjdzie po mnie, kiedy mój statek zawinie do portu w Anglii. Na dwóch stronach rozpisywał się o tym, jak mnie powita i co mam robić. „Będę tam czekał – napisał. – Zobaczysz mnie, jak macham radośnie ręką na

powitanie mojej młodej małżonki przybywającej nareszcie do Anglii. Będę skakał w tę i z powrotem i wołał cię po imieniu z utęsknieniem w głosie”. Przyszło mi do głowy, że ponieważ nie widziałam się z Gilbertem sześć miesięcy, mógł zapomnieć, jak wyglądałam. Aby mieć pewność, że rozpozna żonę, powinien szukać kobiety z marsem na czole, patrzącej z zażenowaniem na wymachującego błazna, którego poślubiła.

To jednak nie miało teraz znaczenia, gdyż nie było go w porcie. Jedynymi podskakującymi i machającymi osobami w porcie byli Jamajczycy opuszczający pokład statku – mężczyźni w garniturach z muchami, w eleganckich kapeluszach; kobiety trzęsące się z zimna w swych najlepszych ubraniach, wkładanych w niedzielę do kościoła. Ich bawełniane suknie z obwisłymi kokardami i koronkami, kapelusze i białe rękawiczki wyglądały zbyt ozdobnie na tle szarego wieczornego nieba. Wszyscy skakali i machali osobom, które po nie przyjechały – czarnoskórym postaciom skulonym z zimna, w znoszonych płaszczach, w szalikach wydzierganych na drutach, wyęzającym wzrok, żeby wypatrzeć znajomą torbę, włosy, buty lub twarz, albo próbującym usłyszeć znajomy głos. Oczy mieli otwarte zbyt szeroko, jakby przestraszone. Lustrowali przywiezione zza oceanu bagaże, które trzeba było teraz taszczyć przez ulice Londynu. Wszyscy witali podnieconych krewnych tymi samymi słowami:

– Przywieźliście ze sobą trochę guajaw? A rumu? Albo może macie w torbach bataty?

Kiedy postawiłam stopę na angielskiej ziemi, podeszła do mnie zdyszana i zaczerwieniona Angielka. Okręciła mnie w kółko tak gwałtownie, że guzik od mojego płaszcza wystrzelił jak kula z pistoletu i zniknął w tłumie.

– Czy ty jesteś Sugar? – spytała.

Próbowałam śledzić wzrokiem swój guzik, w nadziei że go potem odzyskam, ponieważ ten płaszcz kosztował dużo pieniędzy, ale kobieta zajrzała mi w twarz i nieustępliwie domagała się odpowiedzi:

– Czy ty jesteś Sugar?

Wyprostowałam się i odpowiedziałam:

– Nie, jestem Hortense.

Cmoknęła ze zniecierpliwieniem, jakby ją ta informacja rozdrażniła. Wzięła głęboki wdech i zapytała:

– A widziałas Sugar? Jest jedną z was. Ma być moją nianią, a ja się trochę spóźniłam. Musisz ją znać. Sugar. Sugar...

Pomyślałam sobie, że muszę się nauczyć tak samo przeciągać samogłoski, kiedy będę wymawiać to słowo. Dzięki temu brzmi tak, jakby się nigdy nie kończyło. To bardzo angielskie. Sugaaaa.

– Przykro mi – odpowiedziałam jej grzecznie – ale nie mam przyjemności znać...

Zanim jednak zdążyłam należycie wyeksponować swoje angielskie samogłoski, kobieta pokręciła głową i mruknęła „Ochhh”, po czym zanurkowała w tłumie i już okręcała następną nowo przybyłą Jamajkę tak brutalnie, że biedaczka, stanąwszy oko w oko z białą kobietą krzyczącą jej w nos: „Sugar, Sugar!”, podniosła wrzask.

Czekałam na Gilberta dwie godziny. Przez dwie godziny przyglądałam się ludziom ściskającym odzyskanych krewnych i przyjaciół, śmiejącym się i ocierającym chusteczkami łzy; spierającym się, kto dokąd pojedzie; mężczyznom dźwigającym na barkach walizki, sapiącym i zalanym potem; kobietom poprawiającym kapelusze, naciągającym rękawiczki i znikającym w zimnym mroku przez sklepioną bramę przypominającą otwartą paszczę. Kiedy tłum zrzędł, zaczęłam szukać na ziemi guzika, ale w ciemności nie sposób było znaleźć coś tak małego.

Biały mężczyzna pchał wózek bagażowy, raz pusty, raz pełny. Przejeżdżając, pogwizdywał i kiwał głową w takt jakiejś melodii. Pomyślałam: Ten pracujący biały mężczyzna powinien wiedzieć, jak mogłabym dojechać pod właściwy adres. Podniosłam rękę, żeby ściągnąć jego uwagę.

– Przepraszam pana, muszę się dostać na Nevern Street. Czy może wie pan, gdzie to jest?

Mężczyzna podrapał się po głowie, poskubał lewą dziurkę nosa, a potem odpowiedział:

– Nie mogę cię tam zawieźć wózkiem, słonko.

Doszłam do wniosku, że wyraziłam się nie dość jasno, inaczej ten mężczyzna nie podejrzewałby mnie o taką głupotę. Jak mogłabym

oczekiwać, że będzie mnie wioził dwukołowym wózkiem po ulicach Londynu? Miałabym mu usiąść na plecach i owinąć się wokół niego nogami?

– Powinna pani wziąć taksówkę – powiedział, kiedy przestał się śmiać ze swego dowcipu.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Dziękuję panu, a czy byłby pan łaskaw wskazać mi miejsce, gdzie mogłabym znaleźć jeden z tych środków transportu?

Mężczyzna był zbity z tropu.

– Co chcesz, słonko? – zapytał, jakbym mówiła w jakimś nieznanym języku.

Kierowcy taksówki musiałam kilka razy powtórzyć adres, zanim w końcu błysk zrozumienia rozjaśnił mu twarz.

– Chciałabym, aby mnie zawieziono pod numer dwadzieścia jeden na Nevern Street. Nevern Street dwadzieścia jeden. Nevern Street – powtórzyłam jeszcze raz, tym razem ze swoim najlepszym akcentem, dzięki któremu zdobyłam pierwsze miejsce w klasowym konkursie wymowy angielskiej na lekcjach pani Stuart. Recytacją *Ody do słowika* zdobyłam Gwiazdę Zasługi i zaszczyt dzwonięcia szkolnym dzwonkiem przez cały tydzień.

Mimo to kierowca taksówki w ogóle mnie nie zrozumiał.

– Przykro mi, kochana. Nie masz gdzieś zapisanego adresu? Na kartce? Może masz ten adres na jakiejś kartce.

Pokazałam mu list od męża z wyraźnie napisanym adresem.

– Ach, Nevern Street dwadzieścia jeden. W porządku, już wiem.

Świecił księżyc. Chwilami świecił, a chwilami chował się za chmury, ale tej nocy był; jego światło rozpraszało się i zniekształcało, kiedy szyby samochodu zaparowywały od mojego oddechu.

– To jest adres, którego pani szukała, Nevern Street dwadzieścia jeden – powiedział. – Wystarczy zadzwonić dzwonkiem. Wie pani, co to dzwonek i kołatka? Macie tam u siebie dzwonki, tam skąd pani pochodzi? Idź i zadzwoń, a ktoś ci na pewno otworzy. – Postawił mój kufer na chodniku przy ulicy. – Ktoś ze środka na pewno ci z tym pomoże. Tylko zadzwoń dzwonkiem.

Ostatnie słowa wypowiedział, szeroko otwierając usta, przesadnie

powoli, tak jak ja mówię, ucząc bardzo małe dzieci. Przyszło mi wtedy do głowy, że może właśnie dlatego białym mężczyznom każe się tu pracować, bo są głupi.

Nie zauważyłam, co wybiegło przez drzwi, bo wypadło tak szybko. Mógł to być pies, bo podskakiwał i brykał, pędząc w moją stronę. Dopiero kiedy usłyszałam:

– Hortense – wydobywające się z ust tego stworzenia, zrozumiałam, że to mój mąż. – Jesteś, jesteś nareszcie, Hortense!

Splotłam ręce na piersi, usiadłam na kufrze i odwróciłam oczy w bok. Gilbert zatrzymał się przede mną z rozpostartymi ramionami i czekał, aż w nie padnę.

– Nie spoufalaj się ze mną, Gilbercie Joseph.

Powoli opuścił ręce.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz, Hortense?

Zacytowałam fragment jego listu:

– „Będę czekał na ciebie w porcie. Zobaczysz mnie, będę skakał, machał rękami i wołał cię po imieniu z utęsknieniem w głosie”.

– Jak ty się tu dostała?

I to było wszystko, co miał do powiedzenia ten człowiek.

– Bez twojej pomocy, Gilbercie Joseph, oto jak. Bez żadnej twojej pomocy. Gdzie ty był? Dlaczego nie wyszedł po mnie na statek? Dlaczego ty nie machał i nie wołał mojego imienia z utęsknieniem w głosie?

Z trudem łapał dech, kiedy zaczął mówić:

– Hortense, ja ci zaraz wszystko wyjaśnię. Ja pojechał do portu, ale tam nie było żadnego statku. Powiedzieli mi, żebym przyszedł później, jak przybędzie. No to wróciłem, żeby skorzystać z okazji i uszykować ładnie mieszkanie na twój przyjazd, aż tu nagle się zjawiasz.

Miał źle zapiętą koszulę. Kołnierzyk z jednej strony był wywinięty na zewnątrz, a z drugiej podwinięty do środka. Dwóm guzikom brakowało dziurek, a koszula była wetknięta w spodnie tylko z przodu, a z tyłu wisiała na zewnątrz jak u swawolnego ucznia. Jedno sznurowadło wisiało niezawiązane. Wyglądał niechlujnie. Gdzie się podział ten mężczyzna, którego pamiętałam? Elegancki, w dwurzędowym garniturze, z włosami uczesanymi gładko z

przedziałkiem i lśniącymi od brylantyny, w czystych butach, z krótko obciętymi paznokciami, starannie przystrzyżonym wąsikiem i smukłym nosem? Mężczyzna, który stał przede mną i plótł od rzeczy, wyglądał ponuro i nieporządnie, ale to był Gilbert, poznałam go choćby po tym, jak podskakiwał, produkując swoje wymówki.

– Właśnie miałem znowu jechać do portu, aż tu nagle się zjawiasz i stoisz przed drzwiami. Cie diabli, ale niespodzianka! Hortense, nareszcie jesteś!

Wtedy zauważyłam, że Angielka, która mi otworzyła drzwi, przygląda nam się ze szczytu schodów.

– Gilbertcie, czy mogę już zamknąć drzwi?! – zawołała z wysoka.
– Jest straszny przeciąg.

– Zaraz.

– Chodź – szepnęłam do niego. – Chcesz, żeby wszyscy w Anglii dowiedzieli się o naszych sprawach?

Angielka nie spuszczała ze mnie oczu, kiedy wchodziłam do holu. Lustrowała mnie tak ostentacyjnie, jakby mnie tam nie było i nie mogłabym widzieć jej wzroku. Skinęłam jej głową i powiedziałam:

– Dziękuję pani za całą pomoc w znalezieniu męża. Tuszę, że nie przysporzyłam pani zbyt dużo niedogodności.

Miałam nadzieję, że kiedy przemówię do niej wprost, odwróci ode mnie wzrok i zajmie się swoimi sprawami, ale tak się nie stało. Wzruszyła tylko ramionami i w dalszym ciągu się we mnie wpatrywała. Usłyszałam, jak Gilbert taszczy mój kufer. Obie z tą kobietą stałyśmy i słuchałyśmy, jak sapie i dyszy niczym parowóz.

Potem wbiegł przez drzwi, wołając:

– Hortense, co ty masz w tym kufrze, swoją matkę?!

Ponieważ Angielka cały czas na nas patrzyła, uśmiechnęłam się tylko, zamiast go złać.

– Mam tam wszystko, co będzie mi potrzebne. Dziękuję, Gilbertcie.

– To znaczy, że jednak przywiozłaś matkę – rzekł i wybuchnął śmiechem, takim jak pamiętałam, parsającym, płynącym z głębi nosa i odsłaniającym migoczący złoty ząb. Jeszcze się uśmiechałam, kiedy on zaczął zacierać ręce. – No, mam nadzieję, że przywiozłaś guajawę

i mango, i rum, i...

– A ja mam nadzieję, że nie wnosicie tu nic śmierdzącego – przerwała mu kobieta.

Uśmiech znikł z mojej twarzy. Odwróciłam się do niej i powiedziałam:

– Przywiozłam tylko to, co...

Ale Gilbert złapał mnie za łokieć.

– Chodź, Hortense – powiedział, jakby kobieta nie wyrzekła ani słowa. – Chodź, oprowadzę cię.

Weszłam za nim po schodach.

– Gilbercie, a co z kufrem?! – usłyszałam za sobą wołanie kobiety.
– Nie możecie go tu tak zostawić.

Gilbert obejrzał się przez ramię i powiedział z uśmiechem:

– Ty się nie martw, Queenie, zaraz po niego przyjdę.

Musiałam się złapać poręczy, bo na schodach było prawie zupełnie ciemno; paliła się tylko jedna żarówka i to tak mętna, że trudno było powiedzieć, czy daje światło, czy je wchłania. Za każdym zakrętem ciągnęły się następne strome schody, jak puste półki na książki. Marzyłam o tych linach i blokach, które sobie wcześniej wymyśliłam. W niektóre miejsca światło w ogóle nie docierało i macałam przed sobą stopnie jak ślepiec; tylko odgłos kroków wchodzącego przede mną Gilberta wskazywał mi drogę.

– Hortense, już prawie jesteśmy! – zawołał jak Mojżesz ze szczytu góry.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do drzwi, serce mi waliło jak młot. Gilbert stał przede mną z uśmiechem.

– Jesteśmy na miejscu.

– Tyle schodów. Nie mogłeś znaleźć domu bez tylu schodów?

Weszliśmy do pokoju. Gilbert rzucił się do przodu, żeby nakryć kocem nieposłane łóżko, na pewno jeszcze ciepłe. Nie miałam wątpliwości, że dopiero co wstał. Czułam smród gazu. Gilbert zatoczył ramionami koło, jakby pokazywał mi wspaniały widok.

– To jest nasz pokój – oświadczył.

Widziałam tylko ciemne, brązowe ściany, uszkodzone krzesło postawione jedną nogą na Piśmie Świętym, okno z podartymi

frankami i dwurzędowy garnitur Gilberta, wiszący na wieszaku na ścianie.

– Pokaż mi resztę – powiedziałam, ale on wpatrywał się we mnie bez słowa. – Pokaż mi od razu resztę, jestem zmęczona po podróży. – A ten nic, tylko drapie się po głowie. – Pozostałe pokoje, Gilbertcie, te, które tak pracowicie dla mnie przygotowywałeś, że zapomniałeś przyjechać do portu.

– Ale to już wszystko – odparł tak cicho, że ledwie go dosłyszałam.

– Proszę?

– To wszystko, Hortense. Mieszkam w tym pokoju.

Trzema krokami mogłam przemierzyć to pomieszczenie do jednej ściany, czterema do drugiej. W rogu wisiał zlew, nad nim sterczał zardzewiały kran. Koło łóżka stał stół i dwa krzesła, jedno ze złamanym oparciem. Na fotelu leżała torba na zakupy, góra od pizamy i dzbanek do herbaty. Gaz w kominku palił się, sycząc, błękitnym płomieniem.

– To wszystko? – Nogi się pode mną ugięły, musiałam usiąść na łóżku. Kiedy na nie klapnęłam, nie poczułam żadnego sprężynowania. – Tylko tyle? Tu mieszkasz?

Znowu zakręcił rękami, jakby pokazywał pałacową komnatę.

– Tak, to jest moje mieszkanie.

– To? Ciągnąłeś mnie taki kawał drogi do czegoś takiego?

Cmoknął przez zęby i błysnął gniewnie oczami.

– Cie! A czego ty się spodziewała, kobieto? Tak, to jest wszystko. Czego ty się spodziewała? Wszyscy tak żyją. Była wojna. Bombardowali domy. Znam mnóstwo ludzi, co żyją jeszcze gorzej. Czego ty chcesz? Trzeba było zostać z mamą, jak ci się chciało ładnie mieszkać. Tu była wojna, wszyscy tak żyją.

Popatrzył na mnie z góry; pod źle zapiętą koszulą pierś unosiła mu się ciężko. Na środku pokoju w dywanie świecił wytarty placek. Leżał na nim kawałek chleba. Gilbert znowu cmoknął i wyszedł z pokoju. Słyszałam, jak tupie na schodach. Zostawił mnie samą.

A ja rozglądałam się zaszokowana po tej nędznej klitce.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).